

V. Przeżycia lat 1945/46 w Miodarach
Pille Hoffmann

Ostatnią noc naszego powrotu po wielkiej ucieczce spędziliśmy w Ligocie Książęcej. Następnego dnia: 1 czerwca mieliśmy dotrzeć do naszych Miodar. Byliśmy typową grupą wygnanych powracającą do domu: jeden mężczyzna, osiem kobiet, sporo dorastających i dziesięć dzieci poniżej 14-tu lat. W 12 dni z dwoma końmi i przyczepą pokonaliśmy około 600 km. 19 maja wyszliśmy z Jirkow w powiecie Chomutov w Czechach i tego samego wieczoru w ulewnym burzowym deszczu przekroczyliśmy granicę Saksoni, nie zostaliśmy nawet okradzeni. W Freiburgu moja matka wywalczyła dowód pisany Cyrylicą mówiący o tym, że koniecznie musimy się dostać na uprawy wiosenne na Śląsk. Znaki pisma Cyrylijskiego sprawiły wrażenie cudu.

W Dreźnie jako jedyna grupa zostaliśmy pokierowani przez mosty nad Łabą. W Zgorzelcu przejechaliśmy most awaryjny, potem przez Lubań, Złotoryję, Świerzawę po Strzegom. Tam nasza grupa została zarejestrowana, a dokładnie głowa każdej rodziny, ale pod zrusyfikowanym nazwiskiem. Nasza matka nazywała się zatem Hildegard Albrechtowna; Pani Boja: Agnes Josefowna – Nazwisko nie było rejestrowane. Całą drogą mieliśmy szczęście: nikt z naszej grupy nie zmarł, nikogo nie porwano. Byliśmy bardzo wdzięczni.

Pomimo, iż godzinami jechaliśmy przez spalone Drezno, byliśmy ciągle na nowo wstrząśnięci zniszczeniami na ziemi Śląskiej. Jak wyglądały obrabowane domy! Beczki na kiszoną kapustę wypełniono odchodami; pierzyny porozcinano i wlano ulepek, pół zjedzone przetwory napełniono moczem. W wszystkich pokojach były kupy kału. Nikt nie odważył się iść na pola pogrzebać szczątki trzody, bo tablice informowały o minach. Chmary much unosiły się z padliny, niejednokrotnie musieliśmy zwymiotować, a pomimo głodu nie byliśmy w stanie dużo jeść. Każdego wieczoru otwieraliśmy kopiec z ziemniakami i gotowaliśmy przeznaczoną na kolejny dzień porcję, którą jedliśmy potem na szybko zimną w czasie drogi.

W Ligocie Książęcej mieszkała jedna z córek naszego sąsiada, Pani Hürdler. Jej Podwórko było jak cała reszta, zaniedbana, zabrudzona. Ciężkim sercem na to patrzeliśmy, mieliśmy nadzieję, że po prawej stronie Odry będzie lepiej. Próbowaliśmy się pogodzić z myślami o tym, że też nasze domy w Miodarach będą w takim stanie jak te, które mijamy. Tej nocy tylko dzieci spały. O świcie szliśmy dalej. Nasze myśli targały nas między nadzieją a beznadzieją.

Minkowskie wydawało się nie być zniszczonym, ale już Hessenstein, mała miejscowość przydrożna było całkowicie spalone. W końcu w Żabie znajomi ludzie i dobre wieści: W Miodarach tętni życie, tam mają być wszystkie krowy z okolicy, tam ma być praca, codziennie Zupa i ochrona przez Rosjan.

Potem przemierzaliśmy długi las między Żabą a Miodarami. Nie mogliśmy już wytrzymać, zaczęliśmy biec i w końcu staliśmy na skraju lasu. Oddychaliśmy głośno i zaczęliśmy się śmiać i płakać. Wieża kościelna przebijała się pomiędzy wysokimi Lipami, komin gorzelni był zachowany więc i nasze domy zapewne zostały nienaruszone. Do pierwszego domu mieliśmy jeszcze paręset metrów. Ta trasa była jednym wielkim szczęściem. Przy tym domu stał stary Pan

Stock i powiedział nam coś niezrozumiałego: Hoffmann jest spalony i Wasner, w ogóle we wsi się dużo wydarzyło. Nie mogliśmy w to uwierzyć! Może chodzi o stodołę, próbowaliśmy się pocieszyć. Później staliśmy przy bramie do naszego podwórka. Rosyjska Wartownia zastawiała wejście, przez cały płot rozciągał się ogromny plakat z przesłaniem o zwycięstwie- nasze podwórko stało się Centralą Rosyjską. Za wysokimi Lipami widzieliśmy ruiny naszego domu. Byliśmy jak uśpieni. Nagle wrzask! Pojawił się rosyjski Major, podniósł Matkę i rzucił ją z całej siły na bramę. Krzyczano wokół, że mamy zostać wywiezieni, potem wszystko zostało odwołane. Poruszenie wśród Rosjan było duże. Rozumieliśmy tylko jedno słowo , które było wypowiedane z wielkim zadowoleniem: Kapitaliści.

Zatrzymaliśmy się w domu Pani Klose i tam czekaliśmy na komendanta, który miał przyjść jutro. Nasz los był nam nieznany- był całkowicie zależny od humoru i wielkoduszności Majora. Reszta członków naszej grupy przeżywała zawody i radości. Między przedstawicielami Volkssturmu, którzy byli już na miejscu był też Pan Wasner.

Następnego dnia zwołano pewien rodzaj apelu. Major okazał się być łaskawy. Pochwalił wygląd naszej matki, która wyglądała jak cyganka: od słońca spalona, wychudzona, stresem zniszczona. Powiedział, że w Rosji dostałaby dużo pieniędzy za swoje dzieci. Szczególnie podobało mu się imię mojej siostry Käthe: „Katharina jest typowo rosyjskim imieniem!" W końcu rozkazał, że będziemy mieszkać w domu Francuzów. Kapitaliści mieli pracować dla Sowietów.

W domu francuzów, starym budynku na posesji Pana Vogt, mieszkali kiedyś francuscy więźniowie wojenni, dlatego też w oknach były kraty. Tylko w trzecim pokoju była możliwość wyjścia, którą za pierwsze powiększyliśmy. Korpusy łóżek, słomiane materace i skrzynie na ciuchy były poskładane na duży stos. Mieliśmy nadzieję znaleźć konserwy międzynarodowego czerwonego krzyża, dary bądź inne skarby. Rupiecie warstwiły się nam po same biodra i mieliśmy cały dzień sporo zajęcia z tym. W tym ogromie pracy powstało coś takiego jak optymizm. Żyjemy i wszystko to zniesiemy. Najpierw zorganizowaliśmy sobie łóżka, które pozostały jeszcze z przedsięwzięcia Barthold. Każdy z nas miał swoje łóżko. Nie byliśmy już uchodźcami, a mieszkańcami w naszych Miodarach.

Do Miodar Armia czerwona wciągnęła bez Walki. Dopiero potem systematycznie podpalano: pocztę, szkołę, dom pastora, nasz dom, dom sióstr zakonnych, rzeźnika Sämman oraz sołtysa. Na Domie Wasnera był napis „Feuermeldestelle" czyli miejsce zgłaszania pożaru – to pachniało urzędem więc podpalono ten dom. Nikt nie mógł wytłumaczyć dlaczego zniszczono wszystkie budynki należące do rodziny Scheurer. Może znaleziono zdjęcia synów, którzy byli żołnierzami? O szóstej rano czasu Moskiewskiego, czyli o czwartej rano dzwonił dzwon kościelny i wkrótce wszyscy robotnicy zbierali się na naszym podwórku. Kalfaktorem był Pan Smorodinzeff, dziwna chłopina, często piany, często zdenerwowany, wytwór Rosjan.

Franz zajmował się owcami, ja wraz z siostrami Käthe i Hilde zajmowaliśmy się pasieniem krów. W Miodarach było wtedy chyba 500 sztuk bydła. Bydło było po prostu wyganiane w pola, gdzie najchętniej jadło koniczynę. W południe było zaganiane do stawu. Od 15.00 do 18.00 było drugi raz wyganiane na pola. Panowało duże wzburzenie, często celily się jałówki i nie wiedzieliśmy jak sobie z tym poradzić. Pewnego razu brakowało 18 krów, czuliśmy się już zastrzeleni. W ten znalazło się inne stado gdzie było o 18 sztuk za dużo i mogliśmy odetchnąć z ulgą. W pierwszych dniach wysprzątane wszystkie kopce kartoflane, a ziemniaki posadzono tylko na jednym polu.

Cała reszta została w gorzelnii przerobiona na spirytus. Powoli do każdej rodziny trafiała butla spirytusu i w mgnieniu oka pozbyliśmy się wszy. To było dużym pocieszeniem. Na terenie wsi Miodary były tylko 3 uprawy ziemniaków: pola przy posesjach Ludwig, Scheurer i Richter-Marthel. Ziemniaki, które posadzono w czerwcu mogły być użyte tylko jako karma dla bydła. Na przełomie czerwca i lipca 1945 można było jeszcze stosunkowo dobrze żyć. Mieliśmy czystą, zdrową wodę, w każdej piwnicy były ziemniaki, w ogródkach był chrzan, szczypior i lubczyk. W niektórych piwnicach był nawet węgiel. Zdarzało się, że nawet beczka z kapustą nie została zabrudzona. Wykształcono czuły zmysł do poszukiwania pożywienia i rzeczy codziennego użytku. Znajdowaliśmy wanny, Garki i wiadra. Z ruiny naszego domu wykopaliśmy talerze, które przetrwały pożar. Nawet maszynka do mielenia mięsa, którą mama nagle wyciągnęła była jeszcze do użytku.

W Dominium Biestrzykowice odkryto wysłodki buraczane i sól dla bydła-drogocności. Z magazynu pracowniczego w Sandvorwerk-dzielnicy Biestrzykowic przywieźliśmy taborety, stoły, szafki, drelichy jak również szaro zielone płaszcze, które jednak musieliśmy znowu oddać. Robiłem wyjazdy do Dachsberg, Rogelmühle i Hubertus i zawsze coś przywoziłem. Na polach dorastało żyto- mieliśmy nadzieję że nawet bez ziemniaków damy radę przetrwać zimę. W międzyczasie życie musiało się znormalizować! Ten czas mógł być tylko okresem przejściowym. Byliśmy pełni siły życia, pełni optymizmu i nadziei. Do wsi powracały grupy „uchodźców” między nimi też nasi kochani sąsiedzi Ott, którzy zastali swój dom zajęty, również Simoski, Wenzel, Menzel, Kornau, Jäschke, Mönch oraz gospodarz Vogt. Wszyscy byli gorąco witani. Każdy nie był tylko sąsiadem, ale siłą która będzie się broniła przed rusyfikacją i polonizacją. Większość osadników miało już podobne doświadczenia z 1919 roku w Prusach zachodnich. Nie można było pod żadnym pozorem siać paniki. Pan Mönch powiedział, że za pięć lat będziemy się z tego wszystkiego śmiali, też pani Wasner wiedziała jak pocieszać: „Stary Bóg jeszcze żyje!”

W połowie czerwca poszedłem z matką do Namysłowa. Spalona ruina straży granicznej sprawiała że przewidywaliśmy najgorsze- tak też było. Pomimo tego, że zniszczenie było większe niż przypuszczaliśmy te odwiedziny napelniały nas nadzieją, bo tu panował ten sam optymizm, uczucie tego, że się nie damy! Pani Toebe w spodniach i blaskiem w oczach, Liesel Peter zamiatająca ulicę, Starszy wykładowca Pickert jako pracownik u Rosjan- to było niepojęte, to musiał być tylko okres przejściowy!

Wkrótce jednak zauważyliśmy, że wszystko zaczęło się dziwnie zmieniać, nie tak jak byśmy tego chcieli. Płoty zaczęły znikać, różnica między moje a twoje zacierała się, aż zanikła. Oczywiście, sztachety stanowiły świetny opał, ale ich usunięcie miało ogromne znaczenie. Przesztano używać drogi na rzecz wydeptanych śnieżek przez ogrody. W wysokim ziele było się niewidzialnym, można było się skryć kiedy było trzeba- to stało się życiowym celem. Z uwagi na to, że praktycznie cały dzień byliśmy zajęci organizowaniem artykułów spożywczych, przed i w czasie pracy jak też po pracy, bardzo ważną była możliwość szybkiego znikania.

Kobiety zajmujące się dojeniem krów miały między piersiami butelki, które sprytnie napelniały podczas dojenia. Od wewnętrznej strony spódnic wszyto większe i mniejsze kieszenie. Rękawy napelnione ziemniakami zawiązywano i w ten sposób zanoszono do domu.

Jeszcze był środek lata. Porzeczkę dawały spore plony, szczególnie na posesji Scheurer za ścianą. Nawet nasza matka powoli stawała się dobrą organizatorką. Ukradła na oczach strażników kurę z

naszego ogródka. Kury były już w połowie zdziczałe, nocą skakały po krzewach Bzu. Pewnego razu moja mama odkryła suszone warzywa w remizie strażackiej, biegła z poszwą na poduszkę żeby pozbierać swoje drogocenne znalezisko, w drodze powrotnej spotkała Majora. Przeszukał poduszkę i splunął z pogardą, że takie coś jemy. Raz przyszedł do naszej chaty francuzów. Robiliśmy akurat kluski śląskie, wszyscy byli zajęci. Siedem osób w pełni pracy. Stał w drzwiach, patrzył, gapił się i powiedział „Fabryka!”

Ten rosyjski Major był głównym tematem rozmów w tych tygodniach. Był, krępy, szeroki, rzeński. Kochał swoją władzę. Jeździł motorem przez wieś, przy czym nosił trampki, skarpetki i kąpielówki, rękawiczki, gogle i siatkę na włosy. Nikt nie śmiał się na jego widok. Ale nawet na warunki panujące latem 1945 było to za dużo, czasem miał dobry nastrój, który jednak szybko przechodził w czarny humor. Lubił wykorzystywać swoją władzę, kiedy został przeniesiony pod Oleśnicę, mówiono, że został przeniesiony za karę.

Do końca czasów rosyjskich, czyli do końca Lipca 1945. Mogliśmy piec chleb. Początkowo gotowaliśmy zupełnie u Kietzmann, potem też u nas na podwórku. Kiedy jakaś krowa była na wykończeniu mieliśmy czasem mięso, ale pod koniec Lipca bydło zostało w wielkim stadzie wyprowadzone. My, którzy się cały czas byłem zajmowali mieliśmy iść ze stadem, aż do Żaby, ale kiedy dotarliśmy do polany leśnej pod Żabą, okazało się że mamy iść aż do Rosji. Sytuacja była beznadziejna. Pod wieczór wszyscy uciekliśmy, strzelano za nami. Schowaliśmy się w kukurydzy i w środku nocy wróciliśmy do domu.

Przy wyjściu Rosjan przyjechał „ludzki pociąg towarowy” kilkaset Rosjan przybyło wózkami, czy innymi pojazdami i zabrali całe zboże i wszystkie inne zapasy. W nocy nasze podwórce stały się jak scena z Azji. Paliły się ogniska, fasolki się gotowały, niepokój i migocące płomienie. I ciągle monotonne dźwięki: Piszczalki organów w kościele ewangelickim zostały całkowicie wyłamane i grano na nich. Następnego poranka ruszyli w drogę i pomimo tego, że każdy zabrał tylko około 25kg, sprawiali wrażenie szarańczy bo przecież było ich setki. Nie pozostało nic. Po wyjściu Rosjan, wieś zaczęła się całkowicie zapełniać Polakami. Tylko część pochodziła z Rusi i Galicji, głównie pochodzili z wcześniejszych regionów przygranicznych z okolic Częstochowy i Łodzi. Najbardziej znana Polka wprowadziła się do domu Ludwiga, pochodziła z Warszawy i była ogólnie nazywana przez resztę mieszkańców wsi Warszawianką. Najbardziej mili Polacy mieszkali na posesji państwa Ott, a najgorsi na posesji Heiduck.

Istną plagą stała się hołota bezdomnych którzy furmankami jechali od wsi do wsi i kradli. Byli przebiegli i bez skrępow. Pojawiali się i znikali zanim Polska milicja mogła cokolwiek zrobić. Milicja mieszkała najpierw w domu Jäschke, później przeniosła się do domu Koschig. Tam na granicy między Miodarami a Biestrzykowicami miała dobry ogłód na okolicę.

Z powodu ogólnego niebezpieczeństwa stawiano na noc wartę składającą się dwóch Polaków i jednego Niemca. W lasach byli Partyzanci, którzy raz znaleźli się u rodziny Simossek w miejscowości Zielony Las. Z reguły byli oni do Niemców przyjaźnie nastawieni (była to mieszanka Ukraińców, Polaków, Łotewskiego SS i byłych członków Wehrmachtu).

Zaczęły się żniwa i w centrum uwagi znajdowały się Biestrzykowice. W wielkim Dominium był tylko jeden zbiedziły koń. Tak więc ogromne uprawy były żniwowane tylko za pomocą siły

ludzkiej. Wszystko było ręcznie wiązane, Kobiety ciąły wozy, a mężczyźni pchali koła. Robiono stopy słomy, szczególnie w Koloniach Biestrykowic: Sandvorwerk i Rogelmühle. Żniwa trwały wiele tygodni, jeszcze późną jesienią składaliśmy żyto. Snopy się już przewracały, a ziarna miały już pędy długości palca.

Pomimo ciężkiej pracy byliśmy pełni otuchy. Komentarze Pani Hübner wypowiedane jej piskliwym głosem, budziły salwy śmiechu. W tym czasie pracowaliśmy, aż do wycieczenia. W czasie żniw w domu Schneider gotowano codziennie zupę dla wszystkich, również rodzin osób pracujących przy zbiorach. Codziennie była przygotowana też odrobina chleba dla pracujących.

Symptomów niedożywienia zauważyliśmy coraz więcej niż zwykle, najlepszym na bąble była Babka Lancetowa, która przez noc wyciągała ropę z pęcherzy. Z końcem sierpnia 1945 zaczęły się choroby z rodziny tyfusowatych. Pani gospodarz Vogt, wyjątkowo miła i ciepła kobieta umarła w ciągu trzech dni. Moja siostra Käthe i mój brat musieli się położyć do łóżka, mnie odesłano z pracy. W strachu moja matka pobiegła do Namysłowa po pomoc lekarską. Powiedziano jej „Pani dzieci mogą umrzeć!” Znaleźliśmy domowy poradnik zdrowotny nastawiony na leczenie wodą. Robiliśmy polewania i okłady zasadowe. Potem pozostała trójka rodzeństwa musiała się położyć, tak w jednym domu było już pięć osób ciężko chorych. Wraz z matką czuliśmy się żałośnie, przez ciągłą biegunkę osłabieni, ale ciągle jeszcze mogliśmy chodzić.

Choroba przebiegała u każdego inaczej. Käthe była psychicznie cała zamotana, Bärbel miała chyba przetokę jelitową, krzyczała z bólu, Ernst miał skurcze a potem epizody paraliżu. Hilde leżała tylko spokojnie i spała, aż odkryliśmy w jej gardle niebezpieczny nalot, który jak mówił nasz poradnik występował w Durze. Tu mogła pomóc tylko szybka decyzja. Szczotkę do zębów zamoczyliśmy w spirytusie i zdrapywaliśmy nalot. To był okropny zabieg stosowany u koni, ale może właśnie tym uratowaliśmy jej życie.

We wsi najczęściej najlepiej zbudowane kobiety były wyjątkowo ciężko chore. Panie: Boja, Biewald zdawały się być tylko cieniem siebie po przebytej chorobie. Else Mönch złapała dodatkowo jeszcze różyczkę. Nasza sąsiadka Pani Simoski umarła, kobieta była cicha, odważna i pracowita była matką Hildy i Hanny Binder jak też Marthel Simoski. W ich gospodarstwie umarła też młoda Polka. W Charlottenau umarli: Pan Szuppa wraz z dwójką dzieci. Ponieważ matka wraz z starszym rodzeństwem również leżeli chorzy, ośmio i dziesięcioletnie dzieci zawieźli Ojca i rodzeństwo wózkami na cmentarz.

Dlatego, że nie mogliśmy pracować, nie było też co jeść. Na zmianę chodziliśmy z matką na jeżyny. Wydawało nam się, że są bardzo zdrowe. Każdego ranka Pan Skorzus albo Pani Boja z drogi pytali jak się czujemy. Potem zostawiali kawałek chleba pod bramą.

W tym czasie żyliśmy głównie z grzybów. Nie tylko szlachetnych ale też różnych innych. Ci, którzy wyzdrowieli jedli ogromne ilości. Gotowaliśmy ziarna i mieliliśmy je w maszynie do mięsa, do codziennej zupy zawsze jedna osoba obsługiwała młynek do kawy i mielila składniki na zupę. Śruta i ziemniaki były naszym codziennym pożywieniem. Wszyscy byli nabrzmiali, ale słabi.

Pewnego razu przyszła po mnie Hanne. Między Smarchowicami wielkimi a Ziemielowicami miało być pole Rabarbaru. Znaleźliśmy je i przywieźliśmy cały wózek rabarbaru do domu. Byliśmy zadowoleni, że mogliśmy połać grzyby kwaśnym Rabarbarem i mieliśmy sałatkę grzybową. Codziennie zbieraliśmy cały worek ziół leczniczych: krwawnik, skrzyp polny, liście jeżyn, kwiaty wrzosu, białą koniczynę i wiele innych. Przez Zimę piliśmy herbatę z tych ziół, chodziło o to, żeby utrzymać gospodarkę wodną ciała. Jabłka i inne owoce zostały przez Polaków półdojrzałe zerwane razem z gałązkami. Pewnej nocy pojawili się Polacy z Bąkovic i wyplundrowali kartoflisko na polu Ludwig, które Warszawianka sobie przywłaszczyła.

Tej jesieni zbieraliśmy koszami owoce dzikiego bzu, były one źródłem witamin i zróżnicowaniem w naszym jadłospisie. Robiliśmy też zaczyn, z którego potem robiliśmy zupę tak zwaną Schuursuppe. Przepisy starszych pań, które nie przewidywały wielu składników bardzo pomagały nam przetrwać.

W końcu mogliśmy znów pracować. Przez tydzień miałem nawet specjalne zajęcie: porządkowałem bibliotekę Pana von Garnier, właściciela Biestrzykowic. Zaraz po tym została wywieziona do Warszawy. Uczyliśmy się posługiwać cepem, jednak za niedługo uważano tą pracę już za nierentowną. Później młóciliśmy stopy słomy, to było chyba w Listopadzie. W dolnych warstwach roilo się od myszy! W tym roku żyły tysiące myszy w zaniedbanych polach, wraz z nimi rozmnożyły się też ptaki drapieżne. Tam gdzie kiedyś krążył jeden Jastrząb, teraz krąży od ośmiu do dwunastu orłów, i wiele jastrzębi. Też w budynku Francuzów roily się myszy, które robiły się coraz bardziej bezczelne. Pożyczono nam pułapkę na myszy i w jedną noc mój brat złapał ich, aż dziewiętnaście. Plaga much ustawała wraz z pierwszymi przymrozkami. W domu Francuzów z zbutwiały i zawilgoconymi ścianami nie mogliśmy przetrwać zimy. Naszej matce udało się uzyskać, że możemy się przeprowadzić do mieszkania pracowniczego na naszym podwórku do mieszkania Biewald. Rozciągnięty budynek z trzema mieszkaniami, oborą, garażem i komórką miał początkowo również być spalony. W mieszkaniu Biewald został rozniecony ogień, który jednak się nie rozprzestrzenił. Po tym jak kilkakrotnie bieliliśmy ściany, były one żółte, ale pachniało zdrowo i nie było czuć czynników chorobotwórczych jak w zagrzybiałym domu i w dodatku byliśmy znowu na naszym podwórku, czuliśmy się od razu wolniej. To był środek Listopada 1945.

Tej późnej jesieni zaprzestały powroty Niemieckich Żołnierzy i Cywilów, coraz częściej słyszeliśmy, że znajomi poszli „na zachód”. Ciężka Zima w roku 1945 zmusiła nas do tego, żeby mieć tylko jeden cel przed oczami: przeżycie- wiosną wszystko będzie łatwiejsze.

Od 7-go Grudnia przez 3 dni trwały okropne burze śnieżne i straszne zamiecie. Pracowaliśmy w Sandvorwerk. Jeszcze dobrze pamiętam jak szliśmy przez śnieg, zgarbieni i zmarznięci. Już dawno nie miałem skurczanych butów ani skarpet, nosiłem drewniane buty, onuce i zielone spodnie Rosyjskich więźniów wojennych. Niektóre Kobiety rozrywały worki cukrowe w których wpleciona była nić wełniana, z której na drutach robiły kurtki. Już o 16.00 kończyliśmy pracę, wracaliśmy po zmroku. Nie mieliśmy jeszcze elektryczności, tliła się tylko lampka olejowa. Już o 18.00 leżeliśmy w łóżku, to leżenie godzinami w łóżku długimi nocami pozwoliło nam zachować dużo sił.

Mój brat Franz pracował z Rudim Jäschke i Herbertem Kornau w lesie. Nie tylko przynosił

codziennie drzewo, ale też zarabiał pierwsze złotówki: mogliśmy kupić zapałki, sól, olej i szare mydło. Postawiono w naszej stajni 10 źrebiąt ponieważ na naszym strychu były jeszcze spore zapasy siana. Zostałem stróżem nocnym. My Niemcy musieliśmy pilnować źrebiąt należących do Polaków, żeby ich Ruscy nie rozkradli i nie przehandlowali. Moje służby były albo od popołudnia do północy, albo od północy do rana do 8.00. Reszta dnia była wolna. To była dobra rzecz, rozszerzyłem moje obchody, aż do Dąbrowy i znalazłem pole z resztkami kapusty pastewnej. Mój brat dobił postrzeloną sarnę, jedliśmy ją ale byliśmy szczęśliwi jak już się skończyła i żaden Polak nas nie nakrył na tym. Na święta zaskoczyłem moją rodzinę, skrzynką węgla i torbą kapusty pastewnej. Byliśmy szczęśliwi, śmialiśmy się i śpiewaliśmy- to były wesołe święta. W święta wszyscy wzięliśmy się w garść, ale za to Sylwester był ciężkim czasem, pełnym zmartwień.

10 stycznia w urodziny Hildy, nagle rozniósł się głośny wrzask. Wszyscy się obejmowali, płakano, machano sobie i krzyczano do siebie: Amerykanin jest w Namysłowie-nasze cierpienie się kończy i nagle wszędzie znajdowała się jakaś schowana butelka spirytusu i w całym tym zamieszaniu bardzo szybko byliśmy pijani. Tyle znieśliśmy i myśleliśmy że zostało nam to wynagrodzone, przez jedną noc mieliśmy wielkie plany. Otrzeźwienie na drugi dzień było okropne. Polacy pozwolili sobie z nas zażartować.

Pod koniec stycznia nie mieliśmy już ziemniaków, więc nasza matka poszła do cieszącej się złą sławą Warszawianki. Dwa razy się nie zgodziła sprzedać nam ziemniaków, ale wieczorem mąż Warszawianki-szef, posłał nam dwa worki po 50kilogramów ziemniaków, nawet nie wziął za nie pieniędzy. W zamian za to miałem cały marzec pracować w ich gospodarstwie. Ten marzec był na początku tak jak i w ostatnich dniach miesiąca słoneczny i ciepły. Dawało nam to dużo nadziei. Pojawiły się pierwsze Krwawniki, podagryczniki, pokrzywy i dawały nam do zrozumienia, że mamy znowu skąd czerpać witaminy których było tak mało zimą. Pierwszego kwietnia na nowo rozplanowano pracę. Miodary jako miejsce pracy dla Niemców przestało być atrakcyjne. Wszystko koncentrowało się w Biestrzykowicach. Uruchomiono ogrodnictwo i rozpoczęto uprawę setek krzaków pomidorów, wszystko sprawiało wrażenie prawdziwego porządku, nawet mieliśmy dostawać złotówki w zamian za pracę. Między Niemcami rozległ się ogromny niepokój Wachmistrz Juppe, przeciwnik Nazistów, prawy Katolik i sprawiedliwy mężczyzna został aresztowany i umarł. Pan Simossek też został aresztowany, ale szybko wrócił. Na temat swoich przeżyć milczał. To były dwa oczywiste przypadki denuncjacji. Kto miał być następny?

W międzyczasie mieliśmy już prąd. Dowiedzieliśmy się o Poczdamie i wysiedleniu które rozpoczynało się w Karkonoszach i okolicach Wrocławia. Początkiem Maja w niedzielę w lesie pod Żabą odbyło się polowanie z nagonką. Niemcy z Minkowskiego, Smarchowic, Ziemielowic, Żaby, Biestrzykowic i Miodar zostali przywiezieni ciężarówkami jako naganiacze. Zbiorówka w Maju! Z Namysłowa przyjechali elegancy Polacy, myśliwi niedzielni. Ponad setka naganiaczy przeczesywała lasy. Dziki, Sarny, Jelenie zostały wygnane ale przez cały dzień ustrzelono tylko jednego lisa. Po raz pierwszy znaleźliśmy kilka zwierząt powieszonych w wnykach. Popołudniu znikliśmy wszyscy w pobocznych krzakach, każdy wrócił z ręką pełną Marzanki Wodnej bo w końcu coś trzeba było mieć z tego dnia.

Właśnie takie bezsensowne działania jak zbiorówki w maju kładły nacisk na stwierdzenie, że na terenie, który do nas należy nie powinno się tak zachowywać. Wykorzystają i zniszczą wszystko,

a potem odejdą. Dlatego też myśleliśmy, że to Polacy jesienią niedojrzałe owoce zrywali razem z gałęziami. Powoli jednak podchodziliśmy do tego sceptycznie.

10 Maja zostaliśmy ostrzeżeni: Franz i ja byliśmy na czarnej liście. Naszą ostatnią rezerwę, platynowy naszyjnik oddaliśmy w Namysłowie w zastaw. 18 Maja opuściliśmy Miodary. Franz i ja pieszo poszliśmy do Węglińca. Mama z Ernstem i dziewczynami jechały pociągiem. Obie nasze grupy były 4 dni w drodze. Z Węglińca pojechaliśmy transportem do Dolnej Saksoni.